Nr 39. We Lwowie dnia 27. września 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Pieśni z otchłani,

pisane w więzieniu w roku 1846.

SZABLA.*)

Miałem ja szablę po ojcach sławną,
Starą, jak sława mej ziemi —
Z głownią olbrzymią, w jaszczur oprawną
I z obrazkami świętemi —
Krzyż na niej błyszczał w misternem złocie
I rzędem gęste tam szczerby,
Co się wyryły na jej brzeszczocie,
Niby jej laury i herby.

*
* *

A znałem dzieje tej szabli świętej,
Najdroższej dla mnie spuścizny,
Jako bieg życia mego poczęty,
Jak dzieje mojej ojczyzny —
Bo gdym się zbratał z ojcy sławnemi,
Co dziś w pamięci nam bledną,
To czułem sercem: Że dzieje ziemi
A starej szabli, — to jedno.

*
* *

Przez cztery wieki bluszcz sławy świętej,
W progi wnosiła domowe,
Przez cztery wieki jak duch zaklęty,
Biła najeźdźców na głowę.

Dzisiaj, o! dzisiaj... na srom praojcom,
Syn ich nie bitny, nie srogi,
Złamaną w trwodze porzucił zbójcom,
Pod obryzgane krwią nogi.

*
* *

Dzisiaj, o! dzisiaj, jak smutne śpiewy,
Jak z pod mogiły, z pod ziemi,
Słyszym sztandarów zdartych powiewy,
I rdza na szabli się cieni,
Dzisiaj, o! dzisiaj na wyschłych rękach
Żelazny łańcuch się wije,
A nowa sława w zbójców paszczękach,
Jako w jaskiniach się kryje.

*
* *

Och! czemuś Panie! w nocach i bolach
Łaknąć dał dziecku swojemu?
Czemuś opuścił na trwogi polach
Dziecię twe? czemu, o czemu?
Czy ono wiecznie ku twojej chwale
I ku zbawieniu narodu,
Służyć ma męką swoją i cale
Śmiercią iść braciom u przodu?

*
* *

I daj mu, Panie! jeżeli trzeba
Ku odkupieniu naszemu,
Ogień miast wody, ciernie miast chleba
I bolu, bolu daj jemu!
I daj mu w serce trzy krwawe noże
I wrzuć mu gady do domu,
On to przeniesie — ależ, o Boże!
Nie daj mu hańby, ni sromu!

*) Z papierów po Kaczkowskim.

Nihiliści i nihilistki.

Szkic z Rosji

przez

JERZEGO BRANDESA.

(Dokończenie).

Z reguły o tych, które »w lud idą«, można powiedzieć, że ponieważ rodzina je uciska i przeszkadza im w działalności, za jakąkolwiek cenę pragną zdobyć wolność za jej granicami. W tym celu onego czasu wynaleziono tzw. »pozorne małżeństwa«, które już teraz wyszły nieco z użycia. Młode dziewczę znajdowało towarzysza z podobnemi poglądami, który zgadzał się »pro forma« ją zaślubić, który jednakże względem niej nie miał żadnych praw lub z nich nie korzystał, a za którego pomocą uwalniała się od nadzoru swej rodziny. Czasami zdarzało się, że ci ludzie (jak w opowiadaniu pani Gyllembourg pt. »Jasne noce«) poznawszy się bliżej stawali się rzeczywiście parą, a w innych wypadkach zdarzało się, że mężczyzna nadużył praw, przyznanych mu formalnie, co miało rozwód w następstwie. Zazwyczaj nowożeńcy rozłączali się zaraz po ślubie i żyli swobodnie każde dla siebie. W »Nowym świecie« Turgeniew przedstawił, jak wiadomo, podobny wypadek siostrzanego stosunku między Neżdanowem a Marjanną, którą on uwolnił.

Chociaż młode te kobiety silnie ciągnie ku prostemu ludowi, to jednak rzadko się zdarza, aby się zakochały i wyszły zamąż poza swoim stanem, a jeśli się tak staje, to mści się ów postępek z reguły. Oto jeden przykład z mojego koła znajomych: Młoda dziewczyna kochała mężczyznę ze swego towarzystwa. Zesłano oboje w drodze administracyjnej, lecz w przeciwne dwa krańce Sybiru, a jedno o drugiem ani słychu zachwycić nie mogło. We wsi, gdzie młoda dziewczyna przebywała, po kilku latach poznała robotnika, który z takich samych przyczyn politycznych był zesłany. Spotykała się z nim codziennie; on zakochał się w niej namiętnie; przyszło na świat dziecko. Inni wygnańcy przybyli tymczasem w przejeździe do wsi, a między nimi był jeden inteligentny człowiek — który wiedział coś o jej dawnym ukochanym. Ona nie mogła dość się go nawypytywać, siedziała i rozmawiała z nim przez całą noc. O świcie, kiedy siedziała z dzieckiem przy piersi, robotnik zabił ją w szaleństwie zazdrości. Zdawało mu się, że czyta w jej twarzy udręczenie z powodu, że się do niego zniżyła. W dwa lata potem dziecko odesłano do jej rodziców do Petersburga.

Bardzo charakterystyczną i pouczającą jest jedna z zakazanych w Rosji nowel Korolenki p. t. «Osobliwa«, której treść jest następująca.

Uwięzioną kobietę zsyłają do odległej prowincji. Jeden z żandarmów, towarzyszących młodej panience, jest opowiadającym. Ona miała niewiedzieć dokąd ją wiozą i tak między dwoma żandarmami przejechała prawie cały Sybir. Jeden z nich, niewykształcony, ale dzielny człowiek, czuje się tak pociągniętym jej młodością i wdziękiem, że się formalnie w niej zakochuje i nie może słuchać danego mu rozkazu. Powiada jej nazwę miasta, przeznaczonego na miejsce jej pobytu. »Dobrze — odpowiada ona — tam są rozmaici z naszych«. Natychmiast po przybyciu idzie do pewnego młodego człowieka, którego nazwisko znała, którego jednak nigdy przedtem nie widziała i zamieszkuje u niego. — Jest chorą, na piersi cierpiącą. W miesiąc potem powraca żandarm, odszukuje ją i znajduje młodego człowieka u jej łoża i słyszy, że mimo to oboje mówią do siebie »pan« i »pani«. Dla żandarma jest to niepojętem, co za związek między nimi istnieje. Wyznaje dziewczęciu swoją miłość, lecz ona odrzuca ją z głębokim wstrętem. Nie brzydzi się nim osobiście, lecz dlatego, że jest żandarmem, z zasady, z miłości do sprawy, dla której życie poświęciła; on dla niej nie jest człowiekiem, lecz narzędziem złej mocy. To wszystko dla biednego żandarma jest kompletnie niezrozumiałem.

Pewien autor, którego imię ma sławę w Europie, opowiedział mi co następuje ze swoich stosunków z owemi kołami:

Przed dwunastu laty mieszkałem w Berlinie i otrzymywałem listy od niezadowolonych w Rosji obojga płci, zawierające po części prośby, o napisanie paru broszur, któreby przełożyli na rosyjski język i pomiędzy chłopami rozpowszechniać mogli, po części dane w sprawie monografji, którą pisałem o pewnej sławnej osobistości rewolucyjnej, a której to pracy znaczną część mojej popularności w pewnych kołach społeczeństwa rosyjskiego zawdzięczam. Styl niektórych listów był młodzieńczo naiwny, ale ton gorącego, młodego zapału wraz z pewną energją stylu, niezwykłą nawet u młodego mężczyzny, w jednym z tych listów, który zamiast podpisu miał dwie litery, obudził wielkie moje zdumienie. Kiedy w odpowiedzi zrobiłem uwagę, że nie nowem jest dla mnie u młodych ludzi w Rosji spotykać entuzjazm i energję, otrzymałem ku swemu żdziwieniu odpowiedź: »Być może, żeś pan przywykł te przymioty spotykać u naszej młodzieży, to jednak mnie nie dotyczy, gdyż ja od lat kilku jestem już babką«. Wskutek tego listu rozwinęła się między nami korespondencja. Ale po kilku latach ustała, jak wiele innych, z powodu baczności, jaką rozciągnięto nad memi korespondencjami. Ponieważ różne moje książki wówczas właśnie zostały zakazane w Rosji, nie odważono się wypisywać mego nazwiska na kopercie. Zmieniano więc adres tak, że musiałem o tem listonoszów zawiadamiać. W okresie zaś zamachowym wszelka już nawet wymiana listów ustała.

Nierzadko kompletne dzieci zapuszczają się w Rosji w te plany i zamiary poprawienia świata. Albowiem chociaż i starsi zachowują niekiedy

młodzieńczy zapał, rzadki gdzieindziej, to jednak w Rosji równie, jak gdzieindziej jest regułą, że lata i doświadczenie uczą mężczyzn i kobiety uważać istnienie monarchizmu za trwalsze, niżli jest w istocie, a nadzieję jego obalenia za mniejszą, niż się ona im w młodości przedstawia. Już dawno uczyniono spostrzeżenie, że w rozmaitych procesach politycznych, cechujących ostatnie lat dziesiątki, niemal nie skazano nikogo, ażeby miał więcej, niż 30 lat, a nawet 25-letni są rzadkością, wiek zaś większości chwieje się między 17 a 23 latami.

Na wiosnę 1887 r. uwięziono w Petersburgu 10 letnie dziewczę, której rodzice byli znani wszędzie w dobrem towarzystwie. Ze względu na znaczenie jej ojca puszczono ją na wolność, lecz tak, że ją postawiono pod nadzór policyjny.

W domu jej matki zbierała się raz na tydzień pewna grupa studentów, by, jak powiadano, czytać Szekspira po rosyjsku. Że się tych sześciu, czy siedmiu studentów regularnie co tygodnia zbierało, zwróciło to uwagę i policja posłała napomnienie, otrzymała wyjaśnienie i odpowiedziała, że byłoby najlepiej, aby tych odczytów zaniechano. Zastosowano się do tego na pozór. Wnet potem aresztowano studentów, a przy jednym znaleziono tłumaczenie niemieckiego pisemka socjalistycznego, napisanego przez niejakiego Thuna, w tym zaś rękopisie znaleziono bilet z zaproszeniem, podpisany imieniem owej młodej dziewczyny. Nic nie pomogło potem, że przeczyła, jakoby znała pismo, którem rękopis został nakreślony.

Była to osobliwa postać: brzydka o pięknych oczach, trudna do poznania, gdyż lada drobiazg oniemiał ją. W obecności np. damy światowej lub lekkiej kokietki ust nie otwierała. Twierdziła, że jest dla niej niepodobieństwem w obecności tego rodzaju kobiet choć słowo powiedzieć. Posiadała cały rygoryzm młodzieży; etykieta była cnotą, którą tylko z nazwy znała. Miała też całą naiwną wiarę młodości w skuteczność wszelkiej propagandy.

Matka jej natomiast, 35-letnia kobieta o gorącej krwi, miała erotyczną, bujną naturę, tak właściwą krwi rosyjskiej. Natomiast wszystkie siły żywotne jej córki poszły na usługi umysłu; traktowała też matkę, jak swoje wielkie dziecko.

Rzadszym, niż ten, jest wśród tych kobiet typ wesoły, swobodny, na którym żadne niepowodzenia śladu nie zostawiają: List pewnej młodej zamężnej kobiety, którą zesłano na Sybir, jednak nie jako uwięzioną, brzmiał tak mniej więcej:

»Kochani przyjaciele! mogłabym sobie pomyśleć, że się mną nie pokoicie. Jednak nigdy w życiu nie było mi lepiej, niż teraz. Tu jest poprostu wspaniale. Przyjemnem jest już to, że mogę być zdala przez pewien czas od mego kochanego męża, który mnie już nudzić poczynał. Ale to najmniejsza. Przyjęto mnie tu nie jako zbrodniarkę, ale jakby królowę. Całe miasto składa się z wygnańców, ich potomków lub przyjaciół. Ludzie biją się po prostu o to, aby mi okazać w jakiś sposób swą przyjaźń, a nawet hołd... Co drugi wieczór jestem na balu, nie schodzę wcale z posadzek. Ta miejscowość jest czystym rajem balowym itd.«.

Częściej niż tę zuchwałość spotyka się pokorę, skromność głęboką, bezgraniczną, prawdziwie słowiańską. W Moskwie żyło w małym domku wśród ogrodu w odległej okolicy miasta, nadzwyczaj wykształcone dziewczę, które przez lata długie dotknięte było pewną ciężką chorobą, wskutek której czasami, zwłaszcza pod wpływem wrażeń umysłowych, mowę traciła. Żyła tylko duchowem życiem, zajmowała się tylko duchowemi sprawami, a wskutek swej chorobliwości i wątłości przestała być prawie kobietą. Jednak trudno sobie wyobrazić czystszego i silniejszego umysłowego zapału, niż u niej, trudno sobie wyobrazić wytrwalszej pracy w służbie idei. Dziewczę to tłumaczyło wiele z obcych języków i pisało samo. Obcy, którzy mieli sposobność z nią mówić, zdumiewali się jej energją i głęboką pokorą. Ojciec jej był znanym profesorem matematyki. Ona po stracie rodziców wraz z dwiema siostrami, zdrowemi i wesołemi dziewczętami, utrzymywała się na stopie odpowiedniej, bez niczyjej obcej pomocy. W rodzinie tej szczególnie wzruszającem było uwielbienie najmłodszej pełnej wdzięku siostry dla owej uzdolnionej chorej.

O innem znów dziewczęciu z tych samych kół i tego samego wykształcenia, jeden z cudzoziemców, który czas jakiś zatrzymał się w Petersburgu, opowiadał w pewnem gronie osób. Miała ona 17 lat i była wybitnie śmiałego usposobienia. Poznałem ją — opowiadał — bardzo pobieżnie w towarzystwie, zaraz bowiem rozdzielono nas. Zauważyłem jedynie, że miała ładne, jasne oczy i robiła wrażenie serdecznej, ale stanowczej istoty. W przeddzień odjazdu otrzymałem od niej długi list, który mi się zajmującym wydaje, gdyż robi wrażenie jakgdyby był charakterystyką całej grupy tych ludzi.

»Pozwolisz mi pan — pisała — pisemnie wyrazić, czego powiedzieć nie miałam sposobności. Przemawiam do pana nie w imieniu własnem, ale w imieniu znacznej części młodzieży rosyjskiej, której dostatecznie poznać nie miałeś pan czasu. Byłabym to panu powiedziała onegdaj u D....ów, jednak nie starczyło na to owych paru chwil, w których ze sobą rozmawialiśmy. Pan uskarżałeś się, żeś stosunkowo tak niewielu poznał z pośród młodych. Przyczyna tego leży po części w okoliczności, że pora pańskich odwiedzin ze względu na młodzież rosyjską była bardzo nieszczęśliwie dobraną. Właśnie teraz odbywają się egzamina we wszystkich publicznych zakładach. Lecz pominąwszy to wszystko, młodzież rosyjska nie mogła się należycie przed panem odsłonić. Życie pozbawia nas najwyższego dobra swego, wolności i całego szczęścia, jakie się

z nią nierozerwalnie łączy; lecz dlatego nie powinieneś pan sądzić, jakobyśmy niewrażliwi byli na to, co życiu nadaje charakter i wartość. Nie, owszem ponieważ los tak niewiele dał nam przywilejów, te któreśmy zdobyli sobie, miłujemy tem goręcej i cenimy je tem wyżej. Cenimy więc wiedzę, która człowieka czyni wolnym ponad wszystko. Młodzieży rosyjskiej nie jest dozwolonem w piśmie to wyrazić, co czuje, lecz przykroby mi było jako patrjotce, gdybyś pan z tego powodu niesprawiedliwe o tej młodzieży powziął mniemanie. Wymieniłeś pan raz Rudina, jako typowego przedstawiciela rosyjskiej słabości charakteru! Słabość! zawołało coś we mnie, kiedym to usłyszała. O nie! niechże pan nie zapomina, że literatura rosyjska życie i charakter rosyjskiego narodu tylko niedokładnie przedstawia. Proszę niezapominać o tem, że z nas chcą zrobić głuchoniemych i że my jesteśmy zbyt jeszcze nieliczni, aby się temu módz oprzeć. Lecz my nie jesteśmy wcale tacy, jak Rudin. On jest inteligentnym i ma pewną zdolność duchowego odczuwania, lecz nie ma wcale głębokości umysłu, nie kocha nikogo i niczego. W ideach ich piękność wabi Rudina, lecz wcale nie miłość głęboka a szczera pociąga go ku ludzkości. Dlatego też względem Natalji i wogóle w życiu jest bezsilnym, chociaż pada jak bohater. Ależ na Boga! jakżeż można sądzić, że przy takiej bezsilności moglibyśmy prowadzić wyczerpującą i ciężką walkę, jaką dzień w dzień toczymy! Co za niesprawiedliwość! silnie i gorąco wierzę w to, że przyjdzie dzień, kiedy Rosja wyleczoną zostanie ze swej ciężkiej choroby i pozostanie wielka i silna. Wierzę nietylko w naród rosyjski, lecz także wierzę w naszą inteligentną młodzież, w jej zapał dla wszystkiego, co jest prawdą, a zatem pięknem. Okazuje się to w czci tej młodzieży, dla owych mężów, którzy chcą zbadać istotę rzeczy i rozszerzają nasze horyzonty«...

List ten może nie zawiera nic, coby wskazywało na nadzwyczajne zdolności, nawet łatwo z niego wyczytać 17 lat wieku autorki, ale mimo to przebija się przezeń indywidualność typowo-rosyjska, wśród ludzi w tym samym wieku trudna do znalezienia w innych krajach Europy. Z pomiędzy słów tych wybłyska wola, która świeci jak ostrze stalowe, wola, która nie zawodzi!

Owoż taką to jest ta postępowa młodzież, panny i młodzieńcy, którą dla należytego zrozumienia, trzeba żywo sobie wyobrazić taką, jaka w życie wstępuje, oko w oko z prostym ludem, którego wychowanie jest jej najulubieńszym celem. Z jednej strony najwyższe wykształcenie naszych czasów, z drugiej, po stronie ludu, ciemnota taka, że po prostu uniemożliwia jego oświecenie!

Na Sachalinie.

(PODSŁUCHANE PRZEZ CZTERY ŚCIANY)

(Ciąg dalszy).

XIV.

Rzeźbiarz jest jeszcze tak słaby, że głową prawie poruszyć nie może, ani też podnieść ręki. Patrzy mi jednak w oczy już całkiem przytomnie — szepce za najmniejszą przysługę:

— Dziękuję pani.

A więc i »Mania« i przeszłość cała czysta, niezaplamiona — pierzchły bez śladu. Spadły trawy chłodzące i balsamiczne z chorego serca i pozostało to okrucieństwo, co się dlań zowie rzeczywistością

A jednak pomimo to — jeszcze chwilowo mu dobrze. Zniedołężniały organizm ledwie odczuwa życie, mózg ledwie funkcjonuje, myśl napół świadomie przykuta do własnego ciała... nic dotąd nie pamięta, niczem nie kraje sobie serca. Wyraz ma spokojny i nawet zadowolony. Czasem się zdaje, jakby się rozkoszował ciszą, samotnością, spoczynkiem — grzecznem, troskliwem obejściem.

Dziś z rana, kiedy zmieniałam mu kompres wyszeptał:

— Biła już piąta, a ja mogę leżeć i leżeć jeszsze i jeszcze — bez końca, w cieple, na miękkiem posłaniu...

Zrozumiałam, co przez to chciał powiedzieć. Okropną jest ta zimowa, kompletnie jeszcze czarna godzina, gdy w pośród przekleństw »towarzyszy« i straży, brzęku kajdanów, przejmującego zimna — zwleka się drżące, skostniałe ciało z twardej pościeli, a nienawykłe, zbolałe dłonie imają się topora lub młota i poczynają walić niemi przez długie godziny, lodowate, jednakie i wieczne... Tak, dobrodzieje! — otworzyliście mu znowu »przyszłość«...

Dziś mówi do mnie:

— Mam wielką prośbę do pani. Uważam, że przysiadujesz przy mnie więcej, niż przy innych. Krępuje mię to niewypowiedzianie. W ogóle nie jestem godzien opieki, szczególnie zaś takiej nadzwyczajnej. Lepiej by było dalcko, gdybym mniej dozierany i mniej leczony, umarł — zdechł raczej, jak pies ostatni. Gorszy jestem przecież od tych zbrodniarzy z gminu. Byłem, przynajmniej powierzchownie, cywilizowanym człowiekiem...

Zaczął poruszać się niespokojnie, mówił, unikając wzroku mojego, przenosząc bezustanku oczy z miejsca na miejsce.

— Ostatecznie im więcej szpital ten będzie ludzkim dla mnie... więcej gościnnym i miłosiernym.. tem trudniej mi przyjdzie go opuszczać. Przecież podobno wyzdrawiam... na słodycze mego żywota!...

Ostatnie wyrazy wymówił z wielką goryczą i smutkiem.

Byłam już mocno znużona po tylu nocach bezsennych. Przemówienie nieszczęśliwego zastało mię znienacka. Dobierałam właśnie wyrazów, jakiemi mam mu odpowiedzieć, gdy spojrzał na mnie schorzałym i niewymownie cierpiącym wzrokiem i szybko, ledwie dosłyszalnie wymówił:

— Gdybym śmiał, ucałowałbym rękę pani za bezgraniczne jej poświęcenie... ale podobny wyraz wdzięczności splamiłby tylko jej szlachetną rękę.

— Co za przesadne i niesprawiedliwe słowa! — zawołałam z uniesieniem — Jesteś pan więcej nieszczęśliwym niż winnym! Lecz nie mówmy o tem ani słowa już więcej. Przejmujesz się pan i szkodzisz sobie okrutnie.

Widząc, że zmienia się na twarzy i słabnie do omdlenia prawie, rzuciłam się by go orzeźwić, a kiedy uniosłam mu głowę, żeby wlać w usta parę kropel lekarstwa, pochwycił niespodzianie brzeg mego białego fartucha i do ust go przycisnął:

— To się pierze! — wyszeptał, przymykając oczy.

XV.

Pomimo gorliwego leczenia Armera — finlandczyk umarł dziś z rana. To dobrze. Lepiej dla niego i dla innych. Tacy żyć nie powinni. Był jakąś skrytą miną, jakimś przyrządem piekielnym, ziejącym śmiercią przy lada dotknięciu nieopatrznem. Przywiązanie do brata... jedna to tylko łzawa kropla w stosunku do rzeki krwi, którą przelał i mógłby przelać znowu. Piszę do tego brata.

XVI.

Dzisiaj Kraśny (jest to nazwisko okrutnego mordercy koniokradów) kiwa na mnie palcem konfidencjonalnie, z wcale łaskawym uśmiechem, gdym przechodziła przez oddział chirurgiczny.

Mijam go, udając, że go nie spostrzegam. Zaczyna mi dawać znaki coraz gwałtowniejsze i głową, i rękami, z poufałością, której tak nie znoszę. Zaczął mię darzyć swą łaską od niedawna, po pilnej obserwacji, niewiadomo dlaczego i po co. Stanowczo za wiele sobie pozwala. Nawet kapryśny Armer przyznaje mi dość taktu w stosunku do indywiduum tego z pod... jasnego piorunu. Jak świetnem mogłoby być przeznaczenie piorunów, gdyby natura racjonalniejszą była w swych prawach!... O naturo! czyste źródło rozkoszy dla duchów czystych i wzniosłych! Jakżeś troskliwie i starannie wyszlifowała i zaostrzyła tygrysie szpony dla pięknej, smukłej antylopy! jakżeś szeroko otwarła dla wszelkiego morskiego stworzenia czułe ramiona ośmionoga! jakież ogromne i piękne perły gradu sypiesz na zboża nędzarzy-pracowników, o matko! o naturo!... Nie mogę ci jednak zarzucić zbytków łaski tu, na naszej uroczej wysepce. Z wyjątkiem chyba tylko przedziwnie pięknych niebios w noce jasne i mroźne — promiennych zórz hiperborejskich. Gdyby tu jakimś cudem mógł trafić grek starożytny, mitologja helleńska wzbogaciłaby się pysznem podaniem: oto wszystkie bóstwa Olympu zajrzały niegdyś ciekawie do nieznanego, lodowatego kraju — i przerażone uciekły ztamtąd, gubiąc na szlaku niebieskim swe świetne szaty i najcudniejsze djamenty z djademów... Ze też nad takim wyrzutkiem wśród krajów ziemi mogą pływać takie obłoki i gorzeć takie gwiazdy!...

Otóż »przyjaciel« mój nowy, widząc iż »serdeczności« nie skutkują, przyjmuje wyraz poważny — i głośno mówi:

— Bardzo panią proszę na parę słów tylko.

Zbliżam się więc z przymusem i niechęcią:

— Macie tu przecież felczera i czuwające na sali kobiety. Przez nich możecie wypowiadać swe prośby. Nic nadzwyczajnego dla was zrobić nie mogę, a zresztą nie mam też, co prawda, szczególnej ochoty...

— Ależ wiem o tem doskonale — i o nic prosić dla siebie nie myślę. Chcę panią o jedną rzecz tylko zapytać. Przecież korona pani z głowy nie spadnie, jeśli mi słówko odpowiesz...

Mówi to z żalem i rozdrażnieniem, z wyraźną nawet obrazą.

— Nie mam kogo zapytać! W przeklętym tym szpitalu człowieka, jak psa traktują! Nikt słowa nie raczy przemówić. A tam, na robotach, widzi się tylko samych zbrodniarzy — więc któżby się ich radził?

— Sądząc innych surowo, obejrzyjcie się też na siebie.

— Et, dajcie mi raz już z tem pokój! — mówi z gniewem. — Słaby, kobiecy rozum przez was przemawia! Nie macie pojęcia, co to jedyny koń dla włościanina i co to znaczy kradzież tego jedynego konia! Nie jestem zbrodniarzem! Byłem i zostałem uczciwym człowiekiem, synem uczciwych ojców. Oni by tak samo karali nikczemnych złodziei, jak i ja ukarałem. Sprawiedliwa to była — Boża to była kara. Od wieków obyczaj ten u nas się chowa i nadal trwać będzie, chociażby nas zasądzali tysiącami!

— Ależ okrutny, straszny człowieku! Niedość wam było zabić, zadaliście jeszcze swej ofierze tak męczeńską śmierć!

— To tylko dla przykładu! — wykrzyknął Kraśny z połyskującym wzrokiem. — Jaką karę uważa ktokolwiekbądź za najwłaściwszą, najbardziej skuteczną i odstraszającą — powinien takiej używać!.. A zresztą nie mam zamiaru o tem mówić! nie przekonam pani tak samo, jak i tamtych panów na sądzie — jak wszystkich innych panów, których nasze biedy wcale nie obchodzą!

Mówił to zapalczywie, z jakimś wyrzutem i żalem, powtarzając po kilka razy to samo językiem gminnym nieznanych dla mnie okolic — czasem wprost dla mnie niezrozumiałym. Potem zamilkł na chwilę, uspokoił się, czy też przynajmniej przybrał spokój pozorny i powiedział głosem cichszym i znacznie złagodzonym:

— Więc chciałem też prosić panią o pewną radę... bo, powiem pani nareszcie, że tu wcale chodzi nie o mnie, ale o kobietę i o troje dzieci, któremi mogę rozporządzić, jak mi się podoba, chociaż wiem, że prawo uwalnia ich od posłuszeństwa dla mnie. Otóż chciałbym tak zrobić, żeby im było lepiej, a kto wie, jeśli rządząc się własnym rozumem, nie zrobię tak, że im będzie gorzej. Więc wolę pójść za radą pani, bo z tego co widzę na własne oczy, — wiem, że pani zaufać można. Pani jest bardzo rozsądna i dobra. Ja takich jeszcze nie widziałem w życiu. Nadziwić się dość nie mogę... Rozumiem, że dla mnie osobiście nic by pani zrobić nie chciała, bo to ja niby najgorszym jestem zbrodniarzem! Cha... cha.. cha!... Ale dla niewinnych, dla dzieci — to co innego. Och wiem ja, jak mam do pani przemawiać! Od czegoż chytrość i przebiegłość moja!

Rachuba Kraśnego na razie okazała się całkiem mylną. »Chytrość« nie udała mu się wcale. Zostałam niewzruszoną.

— Może wam o list chodzi? — odpowiedziałam, chcąc się go pozbyć jak najprędzej. — Chcecie list wyprawić do rodziny? Poproście o to felczera, ja nie mam czasu.

— Ależ nie! proszę tylko wysłuchać! Żona moja chciała jechać za mną i dzieci zabierać, jak niejedna to robi. Ale dzieci to jeszcze drobne, droga daleka, a tu znowu zimno i ciężko. Więc zabroniłem i kazałem zostać na gospodarstwie pospołu z bratem moim. Piętnaście lat mam kary, rok już przebyłem, jestem zdrów i młody — i liczę na amnestje. Jeszcze może powrócę do domu prędzej, niż ludzie myślą. Ale tęsknica za drobiazgiem zaczyna mi mocno doskwierać...

Otwieram szeroko oczy i uszy. Wydaje mi prawie monstrualnie niekonsekwentnem to co słyszę, co widzę, — bo widzę oczy wilgotne, dłonie drżące.

(C. d. n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*

Z wakacyj.

Beskid środkowy, w którego okolicach spędziłem tegoroczne wakacje, jest — jak wiadomo — w porównaniu z innemi częściami Karpat, niskim, bo wysokość górska powyż 1500 m. należy tam do rzadkości, niemniej jednak jest to okolica malownicza, gdyż wszędzie znajdujemy urwiska i nagie skały, ładne górskie kotliny — rzeczki rwące, płynące do Stryja i Oporu, tudzież wielkie lasy, od których Beskid ten otrzymał drugą nazwę — »lesistego«. Najwyższym szczytem jest tam »Paraszka«, góra, leżąca pomiędzy Skolem i Kruszelnicą, na którą zwykle odbywają się liczne wycieczki. Nazwa tej góry związaną jest z dwoma podaniami ludowemi, z których jedno ma cechy historyczne, drugie mitologiczne słowiańskie. Podanie historyczne mówi, że kiedy kniaź halicki Daniło uciekał przez Karpaty przed Tatarami na Węgry, wówczas zostawił skarby swe i córkę Praksedę, czyli Paraszkę, w zamku obok Skolego. Niestety, Tatarzy dowiedzieli się o tem, zamek zburzyli, skarby zabrali, a zamordowaną księżniczkę pochowano tam, gdzie dzisiaj wznosi się „Paraszka". Mitologiczne podanie opowiada o olbrzymie, który córki swej Paraszki nie chciał wydać za innego — obok mieszkającego olbrzyma, a kiedy ta mimo woli ojca uciekła do ukochanego, wówczas rozgniewany olbrzym przywalił oboje górą „Paraszką". Fabuła legendy historycznej opiera się na fakcie najazdu tatarskiego na Karpaty w r. 1240 - 3; podanie o olbrzymach nazwaliśmy mitologicznem, bo w mitologji ludów słowiańskich, wogóle nawet wszystkich aryjskich — „olbrzymi" — greccy »tytani« — zajmują niepoślednie miejsce; być może, że w legendach tych odźwierciadliły się walki plemion praaryjskich z tubylcami środkowej i zachodniej Europy. Obok podań o »Paraszce« przechowały się wśród bojków tamtejszych reminiscencje o sławnym watażce rozbójników, Doboszu, który miał swe skarby ukrywać w wydrążonych skałach w Bubniszczu i Uryczu. Postać tego Dobosza otoczoną jest, jak wszystkie prawie podania o watażkach rozbójników karpackich aureolą bohaterstwa i to bohaterstwa ludowego. Dobosz miał być obrońcą chłopów przeciw »panom« i jako taki cieszył się sympatją pierwszych, drudzy zaś bali się go, jak ognia, i nic mu zrobić nie mogli.

O powstaniu wydrążonych i wyraźnie ręką ludzką wzniesionych skał, raczej murów cyklopskich w Bubniszczu i Uryczu nie istnieją żadne podania ludowe, co samo przez się dowodzi bardzo odległej ich starożytności.

Z zabytków tych Urycz opisany został wcale dokładnie w »tece konserwatorskiej«, Lwów 1892, dzięki Dr. Czołowskiemu, który skały te i mury cyklopskie badał. Dzisiaj pewną jest już rzeczą, że są to szczątki stawińskiego grodu Tustawia; wzniesionego jednak sądzę na dawniejszej jakiejś budowie; o Bubniszczu mniej mamy wiadomości, Dr. Czołowski przypuszcza, że to są ruiny monasteru mnichów pieczarników, sądzę jednak, że są one starsze może nawet jeszcze keltyckie.

Istnieją także po wsiach Korczynie i Kruszelnicy »zabytki«, ale żywe z czasów wcale niedawnych. Nazywam tak tamtejszą szlachtę zaściankową: Korczyńskich i Kruszelnickich, którzy po dziś dzień zachowali swą »dumę rodową« wobec sąsiadujących z nimi chłopów, jakkolwiek zresztą ci ostatni mają się nawet stosunkowo lepiej pod względem dobrobytu, niźli »szlachta«. Szlachta ta posiada osobną gminę »szlachecką«, której wójt nosi szumny tytuł »prefekta« i stoi zawsze w opozycji przeciw gminie »chłopskiej«. Związki małżeńskie »szlachty« z chłopstwem nie istnieją; nawet po śmierci nie następuje zrównanie stanów, bo chłopi i szlachcice mają swe osobne cmentarze. — Wobec niwelujących prądów dzisiejszej doby, »szlachta i chłopi" Korczyna i Kruszelnicy stanowią nietylko ciekawy, ale i charakterystyczny — dla małej ruchliwości społecznej ludności drobno-rolnej — fakt, który nauka społeczna wlicza całkiem słusznie do tak zwanych »przeżytków«. Nie potrzebuję jużcić dowodzić, że »przeżytek« ten tkwi w czasach »złotej wolności« i — »rządów sejmikowych". Te ostatnie osobliwie najwięcej przyczyniły się do rozdzielenia stanowczego chłopów od każdej i nawet od biednej, wyzyskiwanej ekonomicznie i politycznie »szlachty chodaczkowej«.

Przypadkowo okolice te, obfitujące — jak wykazałem — w zabytki historyczne i społeczne przeżytki, są równocześnie terenem, na którym odbywa się intensywna przemiana naszych drobnych pod względem ekonomicznym galicyjskich stosuneczków na stosunki »europejskie«, to jest przemysłowe — wielko-kapitalistyczne. Środkowy Beskid niedarmo nazywa się także „lesistym«; jest to jeszcze jeden z tych nielicznych terenów geograficznych europejskich, na których las i drzewo należą do mało wyzyskanych produktów przyrody. Naturalnie, wielkie kapitały odczuły zaraz, że jest to dogodne pole do rozwinięcia przemysłu drzewnego i rzuciły się na nie. W Synowódzku i Skolem istnieją wielkie tartaki parowe; w lasach zaś pracują i mieszkają ciągle setki robotników, ażeby do tartaków tych dostarczać drzewa. Tartaki te są własnością Grödla i spółki, tudzież p. Schmidta, jednego z nielicznych jeszcze po dziś dzień wielkich przedsiębiorców w Galicji. Do nich możemy także zaliczyć p. L. Krisera, który dostarcza »kloców" drzewnych do Synowódzka i w tym celu wybudował nawet własną kolej do przewozu drzewa z Kruszelnicy do Synowódzka. We wsi Podhorodcach (własność ks. Lubomirskiego) istnieje fabryka wyrobów drzewnych (krzeseł etc.), ponadto w Synowódzku, Korczynie, Podhorodcach, i Uryczu kopią naftę — nieco dalej zaś leży słynna Schodnica. Krótko powiedziawszy, przemysł drzewny i nafciarski opanowuje coraz więcej Beskid »lesisty". Na razie ludność zyskała na tem, bo zwykłą płacą robotnika w lesie jest 1 zł. 50 ct., w tartakach zaś i przy nafcie 1 zł. dziennie. Ale... chłop tamtejszy powoli bardzo ima się zajęć nie-rolniczych, trudno mu wyjść po za granice zarobków drobnych, które jednak dla »dziada i pradziada« jego wystarczały. Ponadto ludność, włożona od wieków do pracy na roli, lub co najwyżej do handlu owocami, mało nadaje się do innego rodzaju roboty, to też kapitaliści w średnim Beskidzie z chęcią i korzyścią sprowadzają Włochów, którzy, jak wiadomo, pod względem potrzeb kulturnych, a więc i wymogów płacy, mogą iść o lepsze z naszym chłopem, ba nawet z chińskim kulisem. Nie dość na tem! oto w tartaku w Skolem zauważyłem wielce rozpowszechnioną pracę dzieci mimo że — jak się słusznie jeden z urzędników p. Schmidta wyraził — „*Diese Kinder müssen zu Grunde gehen*". Ponieważ robotnik tamtejszy, o ile zauważyłem, nie należy do społecznie uświadomionych, otóż nadużycia są bardzo nawet możliwe i jedyną na razie tamą przeciw nim stawiają częste stosunkowo »wizyty« starszego inspektora przemysłowego p. Nawratila, którego za jego dodatnią działalność spotkał ze strony jednego z tamtejszych przemysłowców zarzut: „*dass er die Industrie hemmt*". Ciekawa rzecz, ileby dzieci robotniczych wymierało n. p. w Skolem, gdyby nie to »tamowanie (?) rozwoju przemysłowego«. Mimo to, jest to jednak okolica, w której, jak mi chłopi powiedzieli, „emigrantów do Brazylеji niema"; czy z powodu dobroczynnego wpływu wielkiej industrji?! — po części tak! a to dlatego, że proletarjat rolny, znajdując jakie takie zaspokojenie swych potrzeb życiowych w pracy przemysłowej, zadawala się niem i nie opuszcza kraju. Zważywszy, że to »zaspokojenie potrzeb« proletarjatu rolnego w Beskidzie lesistym jest, jak się wyraziłem, co najwyżej „jakie takie", pojmiemy łatwo, ile nędzy musi się składać w innych okolicach na fakty gremjalnego wychodźtwa chłopów do Ameryki.

Dr. K. I. G.

Z literatury francuskiej.

Paul Verlaine — *Invectives;* André Mauzel — *Les trois Dumas*. Paryż 1896).

Ruch literacki w Paryżu nie zna sezonów: w porze ogórkowej wydawcy puszczają w świat rzeczy ciekawe, nie bojąc się zastoju. Nad powodzeniem księgarni paryskiej czuwa zresztą szeroki zastęp czytelników z całego świata — pory roku nie stanowią więc przeszkody dla rozwoju ruchu księgarskiego. Można nawet wskazać wśród

wydawców i literatów francuskich firmy, które obsługują przeważnie klientelę międzynarodową, co nie pozostaje bez wpływu na rodzaj ich twórczości. W ten sposób »towar literacki« ulega na rynku wszechświatowym prawom każdego towaru: przystosowuje się do gustu spożywców, a często nawet w tym procesie handlowym autor traci lub paczy swój talent i zmienia kierunek.

Paweł Verlaine, najserdeczniejszy i najnieszczęśliwszy z poetów francuzkich lat ostatnich patrzył na to wtargnięcie handlarzy do świątyni ducha oczyma łez pełnemi. Miał bowiem oczy przez całe życie nie oswojone z blaskiem złota. Niby bardzo sławny, a biedny aż do śmierci, miał Verlaine swoją moralność w pracy literackiej. Moralność ta zasadzała się na pracy dla ideji swojej, nie dla względów wydawniczych. Co prawda pokolenie dzisiejszych romansopisarzy wzgląd wydawniczy wzięło za swoją ideę i w ten sposób drażliwą kwestję rozwiązało bardzo praktycznie...

Jednakże trudno się nie zgodzić czasem z Verlaine'em, który częściej niż raz jeden określał niektóre grupy literackich handlarzy nazwą: *tas de muffles!* Czcicielom autora Mądrości polecam pośmiertną książkę jego p. t. *Invectives* Wydania pośmiertne mają w sobie prawie zawsze więcej okruszyn niż całości i przypominają swym bezładem bezład, panujący w pokoju zmarłego. Nie różni się pod tym względem od innych i książka Verlaine'a. Ale kilka szczerych wierszy w zbiorze tych szyderstw, rzuconych współczesnym, ma wartość dla charakterystyki autora. T. z. dekadenci francuscy oraz symboliści w swoim czasie ciągnęli Verlaine'a — każdy w swoją stronę. Odpowiedział im wówczas poeta w znanym wierszu:

Les decadents
Sont emm.....
Les symbolos
Sont rigolo.

Toczyła się również wielka dysputa między małymi człowieczkami »od sztuki najnowszej« — czy Verlaine był kosmopolitą, czy patrjotą, czy był anarchistą, czy hołdował »czystej« sztuce. — Na to daje odpowiedź tom jego wierszy pośmiertnych.

To nie kosmopolita woła tam do widma Metzu:
Patiente encore, bonne ville,
On pense à toi. Reste tranquille.
On pense à toi — rien ne se perd
Ici des hautes pensées de gloire,
Et de revanches de l' histoire.

Co zaś do »arystokratów sztuki« i do anarchistów — odpowiedź znajdą w wierszu następującym:
Je deteste l' Artisterie
Qui se moque de la Patrie
Et du grand nom de vieux Français —
Et j' abomine l' Anarchie.

Daje się czasem Verlaine w swych *Invectives* unosić atakiem niechęci osobistej, co można przebaczyć człowiekowi, którego życie t. j. ludzie smagali tak bezlitośnie. Ale po za tem cześć budzi i tu ten poryw do zdrowia moralnego, do szczerości tej duszy schorzałej i znękanej. Cześć budzi ta niegasnąca, wiecznie młoda nienawiść do doktryneryzmu i formułek bezdusznych tego człowieka, który wierzył, że na to, żeby być poetą trzeba być przedewszystkiem człowiekiem.

Parę słów chciałbym jeszcze poświęcić pracy A. Maurel'a o trzech Dumasach. Autor bardzo skromnie zastrzega się z góry, że mu chodziło tylko o popularny szkic, nie zaś o wyczerpującą charakterystykę. — Właśnie dla tego radzę każdemu wziąć tę książkę do ręki. Są to trzy portrety, trzy pełne werwy obrazy bjograficzne o trzech wyjątkowo ciekawych ludziach. Pierwszy, dziad-Dumas, generał wojsk napoleonowskich Horacjusz Kokles Tyrolu, pogromca niewiernych pod Piramidami, — wypełnia czas od 1762 do 1806 roku. Jest to nieprzerwany ciąg opowieści z tysiąca i jednej nocy, a jednak prawdziwych, który z nadzwyczajną plastyką przenosi nas w te kipiące energją czynu czasy. Czyny bohaterskiego olbrzyma-mulata splatają się z epopeją napoleonowską i co chwila wywołują w pamięci jakiś znany epizod, jakieś echo epoki.

Dalej idzie Dumas-ojciec (1802—1870). król Paryża w ciągu lat bez mała czterdziestu. Energja generała tryska w nim tą samą pełnią życia — tylko, że armją nie są pola kampanji włoskiej i egipskiej, ale nieprzejrzane okiem błonia.... bibułowe. Ale wrzawa zostaje ta sama i życie Dumasa ojca jest znowu dalszym ciągiem bajki, czy to pod względem pracy literackiej, czy przygód miłośnych, czy popularności. Czyta się o tych kilkudziesięciu tomach rocznej produkcji (bodaj nawet ze współpracownictwem czyjem), o tych jednocześnie prowadzonych jego pismach, teatrach, o tych balach, o tych 200000 dochodu rocznego z pióra, jak o czynach wielkoluda w kraju liliputów pracy i temperamentu. I postać ta, po postaci Dumasa-dziada, który był symbolem energji czynu, jest sama symbolem energji woli. Aleksander Dumas-syn (18 1895) mało co, a raczej nic wcale, nie ustąpił swym przodkom. Jak dziad i ojciec jest nowatorem w sferze swego działania, jak dziad i ojciec jest czynny, ruchliwy przez całe życie To życie, jak życie przodków, jest bogate, że się przez kraj przelewa i młodzieńcze aż do 70 roku, w którym jeszcze Dumas-syn odważył się zaślubić kobietę młodą i pracuje po dawnemu. Dumas dziad odbywał nieprawdopodobnie szybkie i śmiałe marsze, Dumas-ojciec nieprawdopodobnie szybko pisał, Dumas-syn dla sfery, w której żył, pozostanie wcieleniem równie niepojętej energji myśli.

Radzę każdemu przeczytać te trzy portrety; inny świat, inna krew, inna niż dzisiaj gra temperamentu w nich się odsłania. Te trzy życia, to jakby trzy szarże, trzy natarcia towarzyszy pancernych w furji zwycięztwa. Dusza trzech epok żyje w tych trzech muszkieterach.«

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.